

Okopy Świętej Trójcy - rozmowy z Markiem Nowakowskim

Czas wolny spędzał na czytaniu, ale nie pchał się, by zabłysnąć, nie wygłaszał oracji. To był cichy człowiek. Czasem tylko zza ściany dochodziły ożywione głosy, kiedy dyskutował z przyjacielem, też urzędnikiem. Wadzili się o Boga! Piękne, co?



Czas wolny spędzał na czytaniu, ale nie pchał się, by zabłysnąć, nie wygłaszał oracji. To był cichy człowiek. Czasem tylko zza ściany dochodziły ożywione głosy, kiedy dyskutował z przyjacielem, też urzędnikiem. Wadzili się o Boga! Piękne, co?

Okopy Trójcy Świętej - rozmowy o ludziach i życiu

21 rozmów z Markiem Nowakowskim

rok wydania: 2014

wydawnictwo Zysk i S-ka

**Z Markiem Nowakowskim o literatach rozmawia Grzegorz
Eberhardt**

Jak wykazała lektura twojej ostatniej książki Pióro, łączy nas jedno – pocenie się... Tak nazwałem w swym Pisarzu dla dorosłych poczucie obcości, jakiego zawsze doznawałem, znajdując się wśród kolegów ze Związku Literatów Polskich...

Dla mnie byli za elokwentni, zbyt rozgadani. Zawsze uważałem, że lepiej nie mówić, a pisać. Mówienie to rozdrabnianie tego, co można zapisać. Po latach podejrzewam, że mój dystans do nich był również efektem podejrzeń o nieautentyczność. Ich tyrady – według mnie – były wygłaszane głównie dla popisu, w sumie miałkie. Byli nieprzekonujący. No i jeszcze to straszne zmęczenie od wieloletniego, jeszcze za Bieruta przecież, pisania na zamówienie... Byłem z innych kręgów, jednak młodszy od nich, nieskażony ich doświadczeniem... Ty się pocieś, mnie bolała głowa.

Dzieli nas pokolenie. W moim Kole Młodych ZLP były dzieci Jastrunów, Wirpszów... One znały się jeszcze ze szkół, ze spotkań w domach rodziców. Ja byłem z zewnątrz...

Znałem ich rodziców. Miałem szacunek dla literatów, literatury. Kochałem literaturę francuską, poznawałem jej polskich odpowiedników. Gdzieś mignęli Tuwim, Staff z siwą bródką. Ocierało się o Broniewskiego, pachnącego świeżym alkoholem. Spotykało się Dąbrowską. Ważny był nawet Leon Kruczkowski, znałem jego Kordiana...Byli obdarzeni moją estymą, podziwem dla ludzi pióra, przyznaję. Ale były też we mnie radary nieufności. Miałem 21, 22 lata, ale miałem też spore doświadczenie. Znałem ludzi spoza nawiasu PRL-u. Nie byłem naiwny. Wiedziałem, że jesteśmy zniewoleni. Nie miałem złudzeń. Niewola w różnej postaci. Rozwijałem się w kraju niewoli. Jednak młodość dawała mi wolność. Dziś formułuję to racjonalnie, wtedy to była intuicja. Nasz świat był zamknięty na klucz, ale tu i ówdzie były obszary pozostawione samopas, ugory nieprzeorane przez komunizm. Wyspy wolności. Tego się szukało.

Właścicielką domu, w którym mieszkaliśmy, była pani Eugenia Maternicka, która jeszcze przed I wojną światową pracowała w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa, była tam księgową. W domu nie brakowało książek, roczników starych gazet, w tym np. „Tygodnika Ilustrowanego”, „Biesiady Literackiej”. Czytałem drukowane w odcinkach reportaże Wacława Sieroszewskiego z wojny rosyjsko-japońskiej. Pani Maternicka pokazywała listy pisane przez Prusa, z prośbą o ileś rubli zaliczki. Także korespondencję Weysenhoffa, Grzymały-Siedleckiego... Razem z kolegą szkolnym z Włoch fascynowaliśmy się Maupassantem, Anatolem Francem, Balzakiem. Także innymi autorami. Spieraliśmy się o wyższość Salambo Flauberta nad Panią Bovary. I odwrotnie... Maupassant poderznął sobie gardło, bo miał syfilis... Takie szczegóły zapamiętywaliśmy. Mój kolega trochę próbował pisać, ale nie wyszło. Wyjechał. Przez jakiś czas był nauczycielem języka francuskiego w Senegal, może pisze po

francusku. Tyle pozostało z fascynacji Maupassantem... W każdym razie — dużo czytałem. W 1959 przeczytałem *Kontrę* Józefa Mackiewicza.

Skąd miałeś egzemplarz?

Od Agnieszki Osieckiej, którą poznałem przez Jarka Abramowa — przywiozła od Giedroycia. Potem dostałem od niej Szkice piórkiem Bobkowskiego, dwa grube tomy.

W 1984 czy 1985 roku pożyczyłem od ciebie tę książkę. Byliśmy wściekli — my, podziemniacy z grupy „Tygodnika Wojennego”, PWA, LOS-u — że nie mamy technicznej możliwości przedruku. W sumie miałeś szczęście — pani Maternicka, potem Osiecka. Ja poznałem prace Mackiewicza dopiero w latach 80. Jako stary chłop, że tak powiem...

Poznanie książki Mackiewicza było dla mnie bardzo ważnym momentem. Literackim i światopoglądowym, sięgającym poza kraj, poza osobiste doświadczenia z przemocą, komunizmem. A u niego ginąca Europa, w jarzmie dwóch sił zła — komunizmu i faszyzmu. Tragedia Kozaków, zdrada aliancka. Giną narody, utrwała się przemoc, fałsz. Mackiewiczowi udało się połączyć totalitaryzm, rzeczy ludzkie, dokumentarność opowieści i jeszcze przyrodę.

Szukałem podobnych pisarzy, wywołujących burzę we łbie. Faulkner walnął mnie swym *Azylem*, pierwszą książką przełożoną u nas; w stosunku do jego innych powieści — utworze mniejszego kalibru, opowieścią sensacyjną. Oczarował; rzecz jakby z bebechów, niesamowicie zręczny wirtuoz. Potem seria uderzeń jego powieściami: *Światłość w sierpniu*, *Wściekłość i wrzask*, inne wspaniałe powieści. Interesował mnie język, jego uroda. Forma też, np. Buczkowski i jego *Wertepy*. Też mocne uderzenie. Były to literackie przygody, fascynacje — ale nie chciałem być taki jak oni.

Poznałem kilku ludzi, którzy zafascynowani są twórczością Józefa Mackiewicza, a jednocześnie bez zmrużenia oka powtarzają najprzeróżniejsze bzdury jakby rodem z propagandy komunistycznej... Nie rozumiem...

Co tu rozumieć? Ludzie są różni, nie jednolici. Bywają ludzie nieuczciwi, niemądrzy, ale mający wrażliwość literacką, reagujący na urodę słowa, na przykład opis przyrody — przecież u Mackiewicza najprzedniejszy z przednich... A jakże różni, rzecz można — niekonsekwentni potrafią być literaci. Na przykład Ferdynand Céline, wielki pisarz o jakże fatalnej opinii. Antysemita, faszysta. A jak genialnie rozebrał sowiecję! Także pisarz nędzy ludzkiej. Forma naładowana elektrycznością. A Izaak Babel? Komunista, a w tym, co zanotował, dał opis barbarzyństwa, bolszewickiego tarana niszczącego ludzi, kulturę. Babel był redaktorem pisma wydawanego w armii Budionnego, „Krasnyj Kawalierist”; szedł z Kozakami podbić świat. Ezra Pound, Hamsun... Świetni pisarze, ale jeżeli chodzi o ich polityczne poglądy — absolutnie szkodliwi. Hamsun zafascynowany Hitlerem...

Wracając do twego Pióra... Dlaczego nie rozszyfrowałeś nazwisk agentów kręcących się wokół ciebie?

Ja nie piszę dokumentu, piszę prozę! O ciekawym, ważnym czasie. Chciałem go odtworzyć. Październik '56 spowodował, że zaistnieli ludzie młodzi — jako pisarze, malarze, muzycy... Wpadło trochę świeżego powietrza. I chyba my-śmy to potrafili wykorzystać. Pióropokazuje tę małą dozę wolności i na tym tle rozwój życia

rówieśników. Skorzystać można było różnie. Na przykład Brycht — duży talent pokonany przez własne kunktatorstwo. Poddał się ciśnieniu przesadnych ambicji... Miał siłę w pisaniu, ale jednocześnie był bardzo łąasy na fawory. Pieniądze, kobiety, nowe auta. Wściekał mnie jego jawny proces wchodzenia w układy z władzą. Wielki poeta Grochowiak, jeszcze większy talent od Brychta, a przecież i u niego górę brała kalkulacja, a także gra z władzą. Chmara dzieci, a poeta miał poznańskie poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Gorzałka, za dużo jej... No i angaż z PAX-em, dziwną instytucją, niewątpliwie agenturą moskiewską zwróconą głównie na rozbiście Kościoła, z drugiej strony — schowek dla AK-owców, NSZ-owców, byłych więźniów politycznych. Także wydawnictwo z takimi tytułami, jak *Czarny potok* Buczkowskiego, książkami Rembeka, Grahama Greene'a. No i z poezją Grochowiaka... PAX zwabiał młodych twórców. Z tej stajni Jurek Krzysztoń, Leszek Terlecki...

A na tle tych losów moja historyjka. Porwało mnie pisanie — swoją formę, możliwość wypowiedzi znalazłem na papierze. Nie była to pełna wolność. Wiedziałem, że Sowietci nad nami dominują. Jak zobaczyłem ich po raz pierwszy w 1945 roku, tak byłem pewien ich obecności również w 1956. Z roku '45 pamiętam budynek NKWD we Włochach, to tam przetrzymano „szesnastu” przed wywozem na proces do Moskwy. We Włochach stał sztab generała Żymierskiego, zaczęliśmy rozróżniać pierwszych ubeków, donosicieli, sowieckich sługusów. Październik nie otworzył mi oczu, ja o tym wszystkim wiedziałem. Tak, pisanie było dla mnie strefą wolności. Piszę, co chcę, jestem panem wszystkiego! Przypomnę ci, że pisać zacząłem właśnie w roku 1956, to nie przypadek. Październik na krótki czas wpuścił haust ożywczego powietrza. Choć szybko zwinął swoje żagle, coś jednak zostało.

Byłeś wtedy na studiach...

Jakże mi one były obojętne, nudne! Nigdy nie widziałem się w roli prawnika. Studia były dla rodziców, ich spokoju, że się „nie marnuję”. I naprawdę do dziś mam poczucie winy, że nie zdobyłem dla nich tego upragnionego tytułu magistra.

Często opisujesz przeróżne biesiady pijacko-intelektualne. Niewątpliwie są wsparte osobistym doświadczeniem świata w realu, jak dziś młodzi mówią. Z kim więc w tym realu piło ci się najlepiej?

Będziesz zaskoczony — na przykład z Leonem Pasternakiem. Facetem ślepo oddanym władzy, m.in. autorem superagitki o prostym tytule Komuna miasta Łomży. Nie gadaliśmy o polityce, on bardzo ciekawie opowiadał o sztetlu, przedmieściach, o Żydach z naszej prowincji. Z kolei Józef Nath Prutkowski, też dobry kompan do wódki, to lwowiak i

fanatyk tego miasta. Nie byłem we Lwowie, a dzięki jego opowieściom czułem się starym lwowiakiem, tęskniłem za tym miastem... W takim gronie nie groziła nuda, poza tym mieli mocne głowy, nie powtarzali się!

Powróćmy jeszcze do ważnej postaci twego Pióra, Brychta...

Wyjechał na Zachód, liczył na gorące przyjęcie przez emigrację. Był tam jednak spalony. Emigracja mu nie uwierzyła i chyba miała rację, a mówi o tym pierwszy jego powrót do kraju w latach 80. — wydał wtedy paszkwil na emigrację. Liczył, że komuchy go przyjmą ponownie jako sprawne, elastyczne pióro. Ale oni mieli w głowie już co innego — szli do Okrągłego Stołu, on im był niepotrzebny. Po raz drugi wrócił już po 1989, wydał coś u Władysława Huzika. Jak po wielu latach się okazało, agenta, TW ps. „Matrat”.

To był groźny agent, zadaniowany, a to już bardzo wyraźny dowód zaufania ze strony służb. Wielu przecież było takich, którzy podpisali zobowiązanie do współpracy — ulegając chwili załamania, np. w efekcie szantażu, groźby — by na pierwszym spotkaniu wycofać się z owej współpracy.

Lub też pletli takie bzdury na owych spotkaniach, że „organa” same rezygnowały z ich „pomocy”. Opisałem dwatakie przypadki. Zgoda, powinniśmy mieć w sobie tolerancję, ale bez przesady. Dziś modne jest wybielanie PRL-u. Mówi się: „najweselszy barak w obozie”, kabaret... Nie, to było bardziej skomplikowane. Nie był to ten kraj, którego obraz zapisali funkcjonariusze w papierach znajdujących się w IPN, ale i nie ten opisany np. przez Janusza Głowackiego w zabawnych dykteryjkach ze „Spatifu”. Owszem, trzeba mieć tolerancję, np. wobec ludzi złamanych przez bezpiekę w latach 40. i 50. Przecież wówczas „argumentem” władzy była katorka, np. noga stołka, na którą na całe godziny ubecy sadzali swe ofiary, ale i groźba zabicia członka rodziny. Tortury fizyczne — są granice wytrzymałości, takich ludzi nie mamy prawa potępiać! Ja w każdym razie nie śmiałybym być Katonem; nigdy nie postrzegąłem człowieka w czarno-białych barwach. A ilu ludziom wtedy zmarnowano życie, choćby usuwaniem ze studiów, wysyłaniem do karnych batalionów w kopalniach węgla. Ludzi przetrąconych przez ustrój nikt nie policzył i nie policzy, ale wiedzieć o ich istnieniu trzeba. To naprawdę nie był kabaret!

Pobierz tekst rozmowy Grzegorza Eberhardta z Markiem Nowakowskim w formacie pdf